

**. A.J.  
Quinnell**



**Mahdi**

---

Tytuł oryginału: Mahdi

© 1999 by A. J. Quinnell  
© 2021 Espadon Publishing Sp. z o.o.

Skład i łamanie: Espadon Publishing Sp. z o.o.

ISBN 978-83-60786-55-0

Wydawnictwo Espadon Publishing Sp. z o.o.  
Warszawa

Książka powstała jako wspólne wydanie Wydawnictwa AiB  
oraz Espadon Publishing Sp. z o.o.

Wszelkie prawa zastrzeżone

A.J. Quinnell

Mahdi

Przekład: Władysław Masiulanis

ESPADON PUBLISHING  
W A R S Z A W A 2 0 2 1

# 1

Odbywat tę podróż niczym pielgrzym wiedziony potrzebą duszy.

Z szosy Kuala Lumpur–Penang zjechał na gruntową drogę, wiodącą w głąb dżungli. „Musi pan dojechać do Klang River, a potem skrócić w lewo. Nie można przegapić tego miejsca”. Zastanawiał się, czy nie powinien wysłać zawiadomienia o swoim przyjeździe – na przykład przez gońca w przepasce na biodrach, dzierżącego rozdwojony na końcu kij z zatkniętym nań jego listem, ale człowiek z płacówki w Kuala Lumpur uśmiechnął się, słysząc tę sugestię i pokręcił głową.

– Będzie wiedział, że pan nadjeżdża. I proszę zabrać smoking. On zawsze przebiera się do kolacji.

W blasku reflektorów droga, wijąca się między wysokimi, posępными drzewami, wydawała się coraz węższa. Co chwila przemykały przez nią jakieś drobne zwierzęta. Pojawiały się w chwiejnej, bladej smudze jasności i ginęły w mroku. A w jego głowie poczęły się rodzić pierwsze wątpliwości. Czy skrócił we właściwym momencie? A w ogóle, co on tu robi, w samym środku malajskiej dżungli? W gruncie rzeczy powinien był złapać popołudniowy samolot do Tokio, a rano wyruszyć w drogę powrotną do Waszyngtonu, do domu i Julii.

Tymczasem, jakby przyciągany jakąś magnetyczną siłą, zmierzał do celu – miał oto spotkać się z człowiekiem, który był legendą jego profesji. I złożyć mu wyrazy uszanowania. Niemniej, raz obudzone wątpliwości nie opuszczały go aż do chwili, gdy za kolejnym zakrętem w świątłach samochodu niespodziewanie pojawiły się dwie doryckie kolumny, a między nimi potężna, ciemna brama z kutego żelaza. Przyhamował łagodnie i zatrzymał pojazd. Należało jednak wysłać zawiadomienie – brama była zamknięta na głucho. Przez chwilę siedział bez ruchu, próbując zebrać myśli i właśnie zamierzał wysiąść, celem dokonania bliższych oględzin przeszkody, kiedy brama jęła rozchyłać się powoli. Za kratą dostrzegł niskiego mężczyznę odzianego w sarong. Ruszył ostrożnie, a wtedy tamten skłonił się nisko i pełnym gracji ruchem dłoni nakazał wjeżdżać.

Dalej dżungla traciła swój dziki charakter; przypominała raczej park. Drzewa i krzewy przerzedzono. Leśny trakt zmienił się w utwardzoną drogę, wiodącą łukiem ku rzece. Znowu musiał zahamować, bo oto wyrosła przed nim niezwykła budowla. Nie dom, nie willa, nawet nie pałac, ale coś pośredniego. Łagodny blask ukrytych lamp dobywał z cienia rząd kolumn, znowu w doryckim stylu. Całość wzniesiono tuż nad brzegiem szerokiej, leniwie płynącej rzeki. Budowla z daleka przypominała białą lukrowaną, świąteczną babkę. A przecież, choć rażąco odmienny od otoczenia, budynek nie pozbawiony był dziwnego, wyzywającego wdzięku.

Uruchomił silnik, czując, jak ciekawość zaczyna brać w nim górę nad niepewnością. Minął podjazd i zatrzymał się u stóp szerokich schodów, wznoszących się ku masywnym drzwiom z tekowego drewna. Uchyliły się, kiedy wysiadł z wozu, i ukazał się kolejny Malaj w sarongu. Zszedł po schodach, a na jego twarzy wykrzywionej grzecznym uśmiechem próżno byłoby szukać śladów zdziwienia.

– Nazywam się Hawke. Morton Hawke. Być może powinienem zawiadomić o swoim przyjeździe...

– Ma pan jakiś багаż, *tuan*? – z ukłonem spytał Malaj.

Hawke kiwnął głową i zaczął mamrotać coś o niesprawianiu kłopotów, ale tamten bez słowa wyjął z samochodu jego niewielką walizkę i, wciąż uśmiechnięty, ruszył w górę schodów. Hawke wzruszył ramionami i podążył za nim.

Nieco później stał pod staroświeckim prysznicem w strumieniach gorącej wody, zmywającej zeń kurz drogi i próbował odzyskać nieco zachwiane poczucie rzeczywistości. Malajski służący zaprowadził go do obszernego pokoju gościnnego na piętrze. Nie brakowało tam niczego, był nawet bar z kubelkiem pełnym lodu. Hawke obejrzał pokój, rzucił okiem na zalany księżycową poświatą krajobraz za oknem, a tymczasem Malaj położył walizkę na olbrzymim, zwieńczonym baldachimem łożu, podszedł do baru, do wysokiej szklanki wlał na trzy palce whisky Canadian Club, dodał dwie kostki lodu i odrobinę wody sodowej i wręczył naczynie zaskoczonemu Amerykaninowi ze słowami:

– Kolacja będzie o dziewiątej, na frontowym tarasie, *tuan*. Rozpakuję teraz i wypraszuję pański smoking. Będę z powrotem za pół godziny.

Tak więc Hawke wypił whisky, a potem wziął prysznic, cały czas zastanawiając się, skąd „mistrz” wiedział nie tylko, że nadjeżdża, ale jaki jest jego ulubiony trunek.

– Informacja jest źródłem władzy. – Pritchard otarł usta śnieżnobiałą serwetką i z dobrodusznym uśmiechem spojrzał na swego gościa ponad zastawionym stołem. – A ja, mój drogi Hawke, kocham władzę. Podobnie jak pan, bo inaczej nie pracowałby pan w swoim zawodzie.

Hawke przełknął ostatni kęs kurczaka i skinął głową. Niewiele odzywał się podczas posiłku. Raz, że był głodny, a jedzenie okazało się wyśmienite; dwa – nie miał nic przeciwko temu, by Pritchard nadawał ton rozmowie. Starego najwyraźniej cieszyły te jego wspominki zabawione mieszanią ironii i cynizmu.

Dwójka mężczyzn siedzących samotnie na tarasie stanowiła wytworny, choć nieco absurdalny widok. Czerni ich smokingów kontrastowała z bielą obrusa z irlandzkiego lnu. Kryształowe kieliszki skrzyły się w świetle księżyca. Pritchard był już starym człowiekiem. Spod krzaczastych, niemal białych brwi spoglądały głęboko osadzone, czarne oczy. Jednak dominującym elementem jego fizjonomii był nos – duży i zakrzywiony; nadawał mu dziwnie ptasi wygląd. Długa, cienka szyja wystająca ze staromodnego, wysokiego kołnierzyka i smoking o szerokich klapach zwisający z jego przygarbionej, kanciastej sylwetki dopełniały obrazu. Hawke uznał, że przypomina ptaka, jakiegoś padlinożercę – sępa. Sępa, wybrednego na starość, jeśli chodzi o rodzaj konsumowanych odpadków. Było to nawet zabawne, że Hawke tak go sobie wyobrażał, on sam bowiem wyglądem doskonale pasował do swego nazwiska, nawiązującego do jastrzębia.

Był pozbawionym kompleksów mężczyzną w średnim wieku, swoją energią i sposobem bycia manifestującym lekceważenie upływu czasu. Rysy twarzy miał ostre, oczy przenikliwe, zwykle przymrużone, włosy, wciąż jeszcze bez śladu siwizny, wbrew obowiązującej modzie nosił krótko obcięte. Jeśli Pritchard był ścierwojadem, Hawke sprawiał wrażenie drapieżnika – silny, muskularny, o długich rękach i palcach. Odłożył widelec i natychmiast z cienia wyłonił się służący, by sprzątnąć ze stołu naczynia. Zapadła cisza, ale nie zwykła cisza, lecz nasycona odgłosami tropikalnej nocy, pełna cykania świerszczy, pohukiwania nocnych ptaków i nerwowych nawoływań innych leśnych zwierząt. Pritchard skinął dłonią i na ta-

rasie pojawiła się dziewczyna, pchając przed sobą niewielki stolik na kółkach. Na jej widok Hawke'owi zaparło dech w piersiach. Nie miała więcej niż sto sześćdziesiąt centymetrów wzrostu. Ubrana była jedynie w ściągnięty paskiem sarong. W przyćmionym świetle jej ciemna skóra połyskiwała miedziastym blaskiem. Pierś miała drobne, wysokie i nieskończenie kształtne. Ale to widok jej twarzy sprawił, że Hawke dosłownie zamarł w bezruchu. Obraz ten głęboko wrył się w umysł Amerykanina i jeszcze przez wiele miesięcy miał pojawiać się w jego snach. Była to twarz bardzo młodej dziewczyny, doskonale proporcjonalna i bez jednego nawet ostrego kąta – same łuki, łagodnie przechodzące jeden w drugi. Duże, lekko skośne oczy, których spojrzenie zabarwione było nieuchwytnym odcieniem ironii i pełne, kształtne usta. Granatowo-czarne, proste włosy spływały aż do pasa dziewczyny.

– Koniak? Cygaro?

Hawke niechętnie, jakby z wysiłkiem, obrócił wzrok na Pritcharda i skinął głową. Dziewczyna zapaliła niewielką oliwną lampkę i nad płomieniem ogrzała, jeden po drugim, trzy pękate kieliszki. Jej dłonie poruszały się z zawodowym wdziękiem. Wzięła ze stolika ciemną, pozbawioną etykiety, ale najwyraźniej bardzo starą butelkę i do każdego z kieliszków nalała po miarce bursztynowego płynu. Dwa kieliszki postawiła przed mężczyznami, trzeci pozostał na stoliku. Hawke nie spuszczał z niej oczu, gdy otwierała mahoniowe pudełko i dobywała zeń duże cygaro marki Carlos y Carlos, by następnie, zbliżywszy dłoń do ucha, obrócić je między palcami. Próba najwidoczniej wypadła pomyślnie, bo dziewczyna sięgnęła po małą, srebrną gilotynkę, przycięła koniec cygara i zaczęła ogrzewać je nad lampą, miarowo obracając w szczupłych palcach. Hawke uniósł wzrok na jej twarz i stwierdził, że przygląda mu się z odrobinę figlarnym wyrazem migdałowych oczu. To, co robiła – jej palce, powoli ugniatające cygaro – wydało mu się nagle naładowane głębokim erotyzmem. Zawsze był dumny ze swej umiejętności kontrolowania własnych reakcji bez względu na okoliczności, ale w tej chwili mógł jedynie gapić się niczym zstubak, jak dziewczyna pochyla się i ujmuje wargami koniec cygara, drugim końcem poruszając w płomieniu lampki. Jej włosy spływały do przodu, okalając twarz ramą czerni. Hawke wstrzymał oddech. Nad stołem uniosła się woń kubańskiego tytoniu. Dziewczyna wyprostowała się, sięgnęła po trzeci kieliszek i zanurzwszy koniuszek cygara w koniaku podała je Amerykaninowi. Po raz pierwszy na jej twarzy pojawił się uśmiech. Hawke był jak sparaliżowany. Chciał podnieść rękę, ale mięśnie odmówiły mu posłuszeństwa. Dziewczyna z uśmiechem przysunęła cygaro do ust Amerykanina, a jej palce delikatnie musnęły jego policzki. Zapach perfum przytłumił na chwilę aromat tytoniu.

– Przypuszczam, że lubi pan muzykę.

Hawke skierował wzrok na Pritcharda. Stary człowiek przyglądał mu się wyraźnie ubawiony.

– Tak... ee, owszem... czemu nie.

Pritchard uśmiechnął się.

– Jak sądzę, Beethoven jest pańskim ulubieńcem.

Znów skinął dłonią i chwilę później Hawke doznał kolejnego wstrząsu. Gdzieś spoza rzeki, ponad jej ciemnymi wodami, napłynęły pierwsze tony Piątej Symfonii. Brzmiały zadziwiająco czysto, naturalnie, głęboko. Mieszkańcy dżungli zamilkli – musieli poddać się majestatowi muzyki.

Hawke z niedowierzaniem pokręcił głową i spojrzał pytająco na Pritcharda. Ten przyjął cygaro z rąk dziewczyny i zamaszystym gestem wskazał rzekę.

– W dżungli po tamtej stronie mam osiem stuwatowych głośników. Zrobionych na zamówienie w Lansing. – Uśmiechnął się. – Po obiedzie dobrze mi robi chwila rozrywki.

Muzyka pomogła Hawke'owi wziąć się w garść. Nie minęło dwadzieścia minut, a poczuł, że odzyskuje panowanie nad sobą. I to pomimo faktu, że dziewczyna siedziała teraz obok Pritcharda, obejmując go w pasie, z głową złożoną na jego ramieniu. Był już w stanie patrzeć na nią, zachowując pewną dozę obojętności. Doszedł do wniosku, że była pół-Malajką, pół-Chinką i nie miała więcej jak piętnaście, szesnaście lat. Wiedział jednak z własnego doświadczenia, jak trudno określić wiek Azjatek. W każdym razie nawet kiedy wstała, aby dolać koniaku do jego kieliszka, zachował zimną krew – podziękował skinieniem głowy i z przymkniętymi oczami pogрузił się w kontemplowaniu muzyki. Miał sobie trochę za złe wcześniejsze zachowanie, jako że zamierzał zrobić na Pritchardzie wrażenie człowieka o nieprzeniknionym obliczu pokerzysty.

Pritchard budził w nim spreczne uczucia. Będąc doskonale wyszkolonym, działającym nowoczesnymi metodami specjalistą w dziedzinie wywiadu, Amerykanin powinien widzieć w starym człowieku jedynie malowniczy anachronizm. Ot, ludzki antyk, podziwiany z nieco wymuszoną skwapliwością. A jednak, mimo wieku i tej pseudokolonialnej siedziby, Pritchard robił wrażenie człowieka niezwykle otwartego.

W poszukiwaniu jakiegoś konkretnego, który przywróciłby trzeźwość jego myślenia, Hawke dokonał przeglądu własnej sytuacji. Jako dyrektor Wydziału Operacyjnego CIA mógł być uważany za pierwszego szpiega wolnego świata. Zdobył tę pozycję poświęcił trzydzieści lat rzetelnej, pełnej poświęcenia służby. Pomógł mu w tym wrodzony dar czy może umiejętność przetrwania, ujawniająca się zarówno w terenie, podczas wykonywania tajnych misji, jak i w labiryntach wewnętrznej polityki Firmy. Udało mu się przetrwać bez schlebiania zwierzchnikom. Zachował przy tym niebezpieczne przywiązanie do intelektualnej niezależności. Zostało w nim coś z wolnego ducha, tylko przez przypadek zbłąkanego w bardziej uregulowane towarzystwo.

To właśnie ta skłonność do niezależności przywiodła go na spotkanie z Pritchardem. Zakończył właśnie długą podróż, bardzo zadowolony z jej rezultatów. Scenę polityczną w Waszyngtonie zdominowali na powrót konserwatyści. Zdecydowano uwolnić CIA z kagańca nałożonego przez poprzednie ekipy. Agencję przestano traktować jak wrzód na zdrowym ciele narodu amerykańskiego. Na Kongres i Białe Dom spłynęło olśnienie – nie można ugasić pożaru lasu manierką ciepłej wody. Z dnia na dzień porozwizywano różne komisje nadzorcze zajmujące się obszczerkowaniem wszelkich posunięć Firmy, zniesiono krępujące ją ustawy Kongresu i uchwalono przydział okazałych funduszy. Doszło do tego, że nazwisko dyrektora CIA znów zaczęło pojawiać się na listach gości co bardziej liczących się waszyngtońskich salonów.

Dla Hawke'a oznaczało to okres wzmożonej aktywności. Dyrektor obijał się po przyjęciach, a Hawke udał się w podróż po Azji z zadaniem kontroli tamtejszych placówek. Należało raz jeszcze obudzić śpiącego olbrzyma – uruchomić długą

odkładane projekty, zmobilizować zmęczonych i rozczarowanych agentów, zmierzyć siły ostatnio zbyt pewnego siebie przeciwnika.

Malezja była ostatnim etapem tej podróży. I tam właśnie, dwa dni temu, podczas kolacji w „Merlin Hotel”, miejscowy agent wymienił nazwisko Pritcharda, pytając Hawke’a, czy zna tego człowieka.

Hawke nigdy nie spotkał Pritcharda, chociaż wiedział o nim bardzo dużo, jak zresztą każdy wyższy rangą funkcjonariusz wywiadu na świecie. Pritchard był postacią legendarną. Co więcej – i to było najbardziej fascynujące – wciąż stanowił zagadkę.

Był Anglikiem, a przynajmniej za Anglika powszechnie go uważano. Po raz pierwszy wypłynął w latach trzydziestych na Bliskim Wschodzie, pracując dla bliżej nieokreślonego wydziału brytyjskiego Ministerstwa Obrony. Mocarstwa europejskie wszelkimi sposobami: mactwem i pochlebstwem, dążyły do zdobycia wpływów na tym terenie. Przypominało to grę w szachy, a na szachownicy często pojawiała się postać Pritcharda. Zawsze był w pobliżu, gdy któraś z głównych figur wykonywała ruch lub wypadła z gry. Gdy dochodziło do mata – ulatniał się.

Z wybuchem wojny Pritchard zniknął. Krążyły pogłoski, że stracił zaufanie władz brytyjskich w Kairze. Mówiono nawet, że popełnił niewybaczalny, według ówczesnych norm, błąd i ożenił się z Arabką, która urodziła mu syna. To było nie do przyjęcia. Asymilacja – owszem, ale wszystko ma swoje granice. Tak więc popadł w niełaskę i jego cień nie pojawił się więcej w lobby „Shepherd’s Hotel” czy „British Club”. Tymczasem w 1944 roku rząd turecki otrzymał niespodziewanie listę wszystkich agentów niemieckich działających w tym kraju. Skala penetracji okazała się tak wielka, że niezdecydowani dotąd Turcy zrezygnowali z przyłączenia się do Osi. Wyglądało na to, że Pritchard nie pogrążył się w beczynności. Po wojnie przeniósł się dalej na wschód i to był początek najbardziej tajemniczego rozdziału jego życia. Kiedy siatka wsławionego wieloma sukcesami wywiadu brytyjskiego zaczęła rozłazić się w szwach, wszelkie podejrzenia skupiły się stopniowo na Pritchardzie. Okazało się, że w Oxfordzie ukończył nie ten college, co trzeba, że miał niewłaściwych wykładowców, a do tego przyjaźnił się z podejrzanymi ludźmi znanymi z lewicowych poglądów. Możliwe, że gdyby odkryto najsłabsze chociaż dowody jego homoseksualnych skłonności lub wyżej ceniono jego intelekt – zostałby cichcem sprzątnięty przez spanikowane MI-6. A tak, zrobiono go rezydentem w Sajgonie, gdzie z miejsca zaczął pracować na boku dla Francuzów. Hawke pamiętał pochodzące z tamtego okresu powiedzenie, przypisywane Pritchardowi: „Mimo wszystko, Francuzi to jeszcze nie Rosjanie, a poza tym – funt nie jest już tyle wart co kiedyś”.

Ostatecznie Pritcharda przeniesiono do Indii Wschodnich, wówczas jeszcze holenderskich, gdzie pozostał do końca wojny z powstańcami Sukarno, aż do powstania niepodległej Indonezji. Podejrzewano, że z jego usług obok Brytyjczyków korzystali także Holendrzy, ale dwa fakty zdają się świadczyć o czymś zgoła przeciwnym. Po pierwsze, powstańcy zwyciężyli; po drugie, nowo mianowany prezydent Sukarno podarował Pritchardowi niewielką, lecz dochodową plantację kawkuczku na południu Sumatry.

Wszystko to nie miało wpływu na stosunek władz brytyjskich do Pritcharda. Nie zrezygnowali z niego, widocznie dysponował informacjami, o których inni nie mieli pojęcia.

Pritchard przenosił się z miejsca na miejsce: Japonia, Filipiny, kilka lat na Tajwanie – cały czas jako pracownik MI-6. Nikt nie wiedział, co stało się z jego arabską żoną i dzieckiem. Prowadził życie nieco rozkapryszonego starego kawalera.

Właśnie podczas jego pobytu na Tajwanie CIA po raz pierwszy powzięła podejrzenie, że może on także figurować na liście płac KGB. Organizacja ta była bardzo aktywna na terenie Tajwanu, niezbyt skutecznie starając się psuć krew Chińczykom, z którymi Rosja miała na pieńku od czasów „rewolucji kulturalnej”. Hawke czytał kilka raportów informujących o kontaktach Pritcharda ze znanymi agentami KGB. CIA zaczęła naciskać na MI-6, ale to tylko zagmatwało sytuację. Początkowo Brytyjczycy odmawiali wszelkich dyskusji na temat Pritcharda, ale kiedy naciski się wzmogły, sięgając najwyższych szczebli władzy – ustąpili. Do Langley przybył wysoki urzędnik MI-6 z walizką pełną dokumentów. Hawke był jednym z trzech funkcjonariuszy CIA, którym pozwolono zgłębić owe dokumenty – oczywiście pod okiem odzianego w prążkowany garnitur Anglika, obserwującego ich niczym detektyw włóczący w sklepie z biżuterią.

Walizka zawierała raporty nadsyłane przez Pritcharda od wielu lat. Ich treść przechodziła wszelkie pojęcie. Pritchard nie tylko pracował jako podwójny agent dla Francuzów, Holendrów, Japończyków, Rosjan i Bóg wie, ilu jeszcze rządów, ale jednocześnie dla różnych organizacji owe rządy zwalczających. Jedyne, czego te raporty nie mogły dowiedzieć się, to jego niezachwianej lojalności wobec Anglii.

Hawke zadał wtedy dwa pytania. Dlaczego Brytyjczycy tolerują tak niesłychaną dwulicowość? I – jak to się stało, że Pritchard żyje tak długo? Anglik w eleganckim garniturze wzruszył ramionami i odparł, że wszystkie raporty Pritcharda okazały się bardzo dokładne i użyteczne; a co do tego, że żyje tak długo – może jego raporty dla innych rządów oceniono podobnie?

Tak więc Pritchard okazał się kimś jedynym w swoim rodzaju: mistrzem szpiegowskiej profesji, swobodnie poruszającym się w gąszczu międzynarodowych intryg, chronionym przez swoją wiedzę i rozliczne powiązania.

Hawke, trochę wbrew własnym przekonaniom, czuł się zmuszony zasugerować dyrektorowi, by miast ukrócić działalność Pritcharda, CIA przyłączyła się do grona odbiorców jego korespondencji. Sugestia ta została przyjęta i przez długie lata raporty Pritcharda cieszyły się uznaniem najwyższych urzędników CIA, pełnych podziwu dla wnikliwości jego analiz. Hawke nigdy nie zetknął się z nim osobiście, gdyż wkrótce potem mianowano go szefem oddziału do spraw Afryki Południowej: następne sześć lat spędził w Kapsztadzie i Pretorii na próbach podtrzymania znienawidzonego reżimu. Kiedy wrócił do Waszyngtonu w związku z powołaniem go na stanowisko dyrektora Wydziału Operacyjnego, jego głównym zadaniem stało się przeciwdziałanie opozycji we własnym kraju, ochrona Firmy przed atakami cierpiących na nadwrażliwość sumienia liberałów. W tym czasie Pritchard zakończył już swą działalność i zaszył się w dżunglach Malezji – legenda i mistrz swego fachu, a przy tym człowiek wielce majątny.

Śluchając ostatniej części symfonii, Hawke zastanawiał się nad raportem, jaki wkrótce złoży dyrektorowi. Jego podróż dowiodła, że skuteczność działań Firmy w Azji Południowo-Wschodniej może być wydatnie poprawiona. Jedynie dwóch szefów placówek należało przenieść do pracy biurowej. Dobrych zastępców na ich stanowiska Hawke mógł zaproponować w każdej chwili. Wystarczy rok, by w Laosie, Wietnamie i Kambodży powstały załazki aktywnych komórek. Była to bardzo

zachęcająca perspektywa. W dalszej kolejności powinien skoncentrować się na Bliskim Wschodzie. Znaczną część budżetu Firmy pochłaniały działania na tym obszarze, a rezultaty osiągnięte przy tak wielkim nakładzie środków, nie były zachwycające.

Pograżył się w rozważaniu swoich kolejnych, mniej czy bardziej podstępnych posunięć, kiedy zabrzmiały majestatyczne akordy finału symfonii i zapadła cisza. Stopniowo wypełniły ją odgłosy dzungli.

– Wielkie dzięki – odezwał się Hawke. – Kolacja z panem była nie tylko przyjemna, ale i bardzo interesująca.

Pritchard skinął głową.

– Cieszę się. Stary człowiek na emeryturze zawsze jest wdzięczny za miłe towarzystwo. Wypije pan strzemienne? – Nie czekając na odpowiedź, poklepał dziewczynę po ramieniu. Wstała i dołała koniaku do kieliszków. Pritchard wymówił kilka słów po malajsku, na co uśmiechnęła się i z trzecim kieliszkiem w dłoni wróciła na swoje miejsce obok niego. Popijała trunka, beznamietnym wzrokiem spoglądając na Hawke'a znad krawędzi koniakówki.

– Jak udała się pańska podróż?

Amerikanin z pewnym trudem oderwał oczy od dziewczyny.

– Świetnie. Będziemy musieli odrobić nieco zaległości. Wie pan, jaka jest sytuacja.

Pritchard skinął głową.

– Oczywiście. Teraz, nareszcie, nadszedł wasz czas; wszystko zależy od was – zmrużył oczy, przybierając zamyślony wyraz twarzy. – To nie będzie takie trudne. Naturalnie musicie znaleźć kogoś do Dżakarty na miejsce Bradena. – Uśmiechnął się. – No i Raborn. Niestety, uległ demonowi opilstwa. Też musi odejść. Szkoda. Swego czasu był wartościowym człowiekiem.

Hawke nie zareagował na uśmiech Pritcharda.

– Od jak dawna jest pan na emeryturze? – spytał nieco poirytowanym tonem.

Pritchard wzruszył ramionami.

– Och, już pięć lat. Ale człowiek zachowuje swoje kontakty. Od czasu do czasu przyjeżdżają tu jacyś ludzie, oglądają stare dziwadło, jakim się stałem. Podobnie jak pan.

Hawke poczuł, że jego irytacja ulatnia się.

– Niewątpliwie są to bardzo różni ludzie.

Stary człowiek uśmiechnął się szeroko.

– A owszem, owszem. Na przykład w zeszłym tygodniu miałem przyjemność gościć na kolacji Kozłowa. Przy okazji, gdyby miał go pan kiedyś podejmować u siebie, proszę pamiętać, że ma wielką słabość do Szopena.

Hawke nie mógł się nie uśmiechnąć. Jurij Kozłów był szefem wszystkich operacji KGB w Azji Południowo-Wschodniej.

– Tak więc, nawet na emeryturze nie zamierza pan palić za sobą żadnych mostów.

Pritchard jakby spoważniał, ale w jego oczach zapaliły się szelmowskie błyski.

– Panie Hawke, zdradzę panu pewien sekret. Jestem pewien, że potrafi pan dochować tajemnicy. – Tak, w ciemnych oczach starego wyraźnie dało się zauważyć

coś szelmowskiego. – Otóż – ciągnął – tak naprawdę, to nigdy nie pracowałem dla Rosjan. Owszem, zdarzyło mi się wziąć od nich jakąś zaliczkę, ale to było coś na kształt zadatku wpłaconego adwokatowi, z którego usług nigdy się nie skorzystało.

– Nigdy?

Pritchard pokręcił głową.

– Prawdopodobnie już wiedzieli wszystko, co mógłbym im powiedzieć.

– Niemniej szpieg właściwie nigdy nie jest na emeryturze – zauważył Hawke. Była to zamierzona złośliwość.

Stary zniósł przytyk z uśmiechem.

– Kozłów przyjechał najeść się i posłuchać Szopena, nic więcej. Może słyszał o moim systemie nagłaśniającym.

Hawke zastanawiał się nad usłyszonymi rewelacjami, a tymczasem Pritchard delikatnie posadził sobie dziewczynę na kolanach i nieco machinalnie pieścił dłonią jej lewą pierś. Pochwyciwszy spojrzenie Amerykanina, wyjaśnił, nieco zażenowany.

– Niestety, w moim wieku takie niewinne pieścizy to wszystko, co mi zostało. Proszę mi powiedzieć, a co z Bliskim Wschodem?

Nagła zmiana tematu znów zbiła Hawke’a z tropu. Myśląc później o tym spotkaniu, doszedł do wniosku, że „mistrz” celowo wytrącał go nieustannie z równowagi. Przez moment wydawało mu się, że stary szpieg musi być telepatą.

– Dlaczego pan pyta?

– Cóż, teraz, kiedy zakończył pan swoją inspekcję tutaj, problem Bliskiego Wschodu pewnie nie daje panu spokoju.

Hawke skinął głową.

– Nikomu nie daje spokoju. W Waszyngtonie sprawy tego regionu są przypuszczalnie częściej przyczyną bezsennych nocy niż wszystkie miejscowe call girls.

Pritchard uniósł brew z udawanym zdziwieniem.

– Sądząc po tym, co wiem o ludziach z Waszyngtonu, można to uznać za swego rodzaju postępek. I co pan zamierza z tym zrobić? – Stary uśmiechnął się. – Mam na myśli Bliski Wschód.

Hawke podniósł się z fotela i z kieliszkiem w dłoni podszedł do krawędzi tarasu. Przez chwilę stał tak, zapatrzony w rzekę. Odszedł od stołu częściowo dlatego, że nie mógł już znieść odstręczającego widoku kościstych palców Pritcharda na dziewczęcej piersi Malajki. Musiał także pozbierać myśli. Zaczynał mieć niejasne przekonanie, że powody, dla których się tu znalazł, były głębsze, niż początkowo sądził. Czy nie kryła się za tym wszystkim podświadoma chęć skorzystania z odrobiny niezmiernego doświadczenia starego? Hawke zdawał sobie sprawę, że w nadchodzących miesiącach jego najważniejszym, najbardziej pracochłonnym zadaniem będzie umocnienie pozycji Amerykanów na Bliskim Wschodzie. Pozycji niemal rozpaczliwej, w efekcie nakładających się na siebie od wielu lat błędów politycznych, niekompetencji i braku zdecydowania. Odwrócił się stroną stołu.

– Na pewno będziemy intensyfikować swoje działania na tym obszarze – oznajmił.

Pritchard oderwał dłoń od piersi dziewczyny i ilustrował swoje słowa obrazowymi gestami.

– Czyli zamiast tysiąca agentów, gorliwie, lecz bez celu i bez rezultatów kręcących się po Bliskim Wschodzie, wyślecie cztery czy pięć tysięcy, żeby robili to samo.

Hawke zrozumiał przymówkę.

– I tak będzie nas tam niewielu w porównaniu z Rosjanami.

– To prawda – zgodził się Pritchard – ale Rosjanie mieli ostatnio jakieś sukcesy. Przynajmniej jeśli chodzi o ich zasadniczy cel, to znaczy destabilizację.

To już nie była przymówka, lecz jawna złośliwość. Hawke czuł, że stary zmusza go do tłumaczenia się.

– Rosjanie nigdy nie mieli takich utrudnień jak my. Przez cztery długie lata działaliśmy ze związanymi rękami. Teraz to wszystko się zmieni. KGB i cała reszta niebawem dowiedzą się, że Firma wraca do interesu.

Pritchard uśmiechnął się sarkastycznie.

– To wspaniała wiadomość, drogi kolego. Ale powtarzam: wasze usiłowania, jakkolwiek chwalebne, nie wystarczą.

– A pewnie, pewnie. Pan natomiast dysponuje prostym rozwiązaniem naszych problemów.

– Mógłbym coś zasugerować. – Pritchard wskazał puste krzesło. – Dlaczego nie miałby pan usiąść i posłuchać? – uśmiechnął się niezwykle, jak na niego, czarującym uśmiechem. – Byłoby szkoda, gdyby wywiózł pan stąd tylko pełen żołądek i wspomnienie Piątej Symfonii.

Po chwili wahania Hawke wrócił na swoje miejsce przy stole. Dziewczyna wstała z kolan Pritcharda, żeby zająć się butelką. Napełniła kieliszki i usiadła tam gdzie poprzednio. Nieodgadnione spojrzenie utkwiła w Amerykaninie.

– Religia.

– To znaczy... ? – Hawke znów poczuł się zupełnie zbity z tropu.

Pritchard pochylił się i rzekł bardzo poważnie:

– Religia, panie Hawke, stanowi proste rozwiązanie waszych podstawowych problemów.

– Rozumiem. Uważa pan, że powinniśmy zacząć się modlić, żeby nasze kłopoty same rozplynęły się w powietrzu.

Po raz pierwszy na twarzy Pritcharda pojawił się wyraz irytacji.

– Jest pan inteligentnym człowiekiem, Hawke. Wiem o tym. Wiem też, że cieszy się pan wielkim szacunkiem swoich co rozsądniejszych współpracowników i przedstawicieli nowej administracji. Prosi mnie pan o radę i zamierzam jej panu udzielić. Proszę mi wyświadczyć uprzejmość i z powagą wysłuchać słów człowieka, który bynajmniej nie jest jeszcze dziedzinnym staruszką.

Hawke zawstydział się. Nic nie odpowiedział, ale skinął głową na znak, że zrozumiał i zaakceptował wymówkę.

– Religia stanowi klucz – ciągnął Pritchard. – Mam na myśli islam, we wszystkich jego formach i odmianach. – Stary człowiek zmrużył oczy, jakby próbował skoncentrować się, jego głos opadł prawie do szeptu i Hawke musiał się pochylić, aby nie uronić żadnego słowa.

– Większość analityków niesłusznie uważa, że rozłam wewnątrz islamu jest czynnikiem korzystnym dla wielkich mocarstw Zachodu. Sądzą, że służy to izolacji poszczególnych państw islamskich i że dzieje się dobrze. Przykładem jest wojna między Iranem a Irakiem, napięcie w stosunkach Egiptu z Libią, Jordanii z Syrią i tak dalej. – Pritchard pokręcił głową. – Ale ci analitycy się mylą. Nie potrafią zrozumieć, że islam różni się od innych religii. Od chrześcijaństwa, judaizmu czy buddyzmu. A istotę tej różnicy stanowi fakt, iż jest to religia, która od swych wyznawców żąda krańcowego posłuszeństwa. Podporządkowania się nie tylko zasadom wiary, ale i regułom, które rządzą postępowaniem muzułmanina, nawet gdy śpi. Islam to religia agresywna, młoda i ekspansywna, jedyna z głównych religii świata, której można przypisać tego rodzaju określenia. Jednym słowem, islam oznacza uległość.

Hawke poczuł się zmuszony przerwać wywód Pritcharda.

– Wszystko to uważam za oczywiste. Rozumiem to i dlatego nie wyobrażam sobie nic bardziej przerażającego niż zjednoczony islam. Byłaby to potworna siła.

Pritchard uniósł dłonie.

– Proszę mi nie przerywać. Owszem, byłaby to olbrzymia siła, ale tę siłę można by kontrolować.

– Kto miałby to robić? – zdziwił się Hawke.

– Wy. Zachód. Proszę się nie śmiać. Pytał pan o proste rozwiązanie i oto ono.

Hawke stłumił uśmiech i spytał ostrożnie:

– A więc pańskim zdaniem najpierw mamy doprowadzić do zjednoczenia wszystkich odłamów islamu w jedną religię, tak? Będzie to nieskończenie trudniejsze niż pogodzenie, powiedzmy, katolików i protestantów. Potem zaś, mamy przejąć kontrolę nad już zjednoczonym islamem.

– Właśnie tak.

– W jaki sposób?

– Przez podważenie jego fundamentów.

– Jednoczymy zatem muzułmanów, podważamy fundamenty ich religii i tym sposobem zyskujemy skuteczną kontrolę nad miliardem ludzi zamieszkujących czterdzieści pięć państw islamskich. – W głosie Hawke’a pobrzmiwała ironia. Czuł, że ta rozmowa zaczyna go drażnić. Może Pritchard istotnie zdziecinniał na starość? – No cóż, panie Pritchard, to wspaniały pomysł. I oczywiście prosty. Pozostaje odpowiedzieć na jedno łatwe pytanie: jak mamy to wszystko zrobić?

Pritchard puścił mimo uszu sarkazm Hawke’a. Wypił łyk koniaku.

– Potrzebny wam cud – odparł.

Hawke wybuchnął śmiechem.

– Cud? Doprawdy, tego właśnie wymagałoby to przedsięwzięcie.

Pritchard ponownie uniósł dłonie, gasząc śmiech Amerykanina.

– Chce pan powiedzieć, że kraj, który skonstruował bombę atomową, który wysłał człowieka na Księżyc... – stary uśmiechnął się nieznacznie – ... który zbudował Disneyland... że taki kraj nie jest w stanie wyprodukować porządnego, stereo i w kolorze, pierwszej jakości, gwarantowanego cudu?

Hawke z trudem zachował powagę.

– Powiedzmy, że byłoby to możliwe. Ale po co?

Pritchard rozsiadł się wygodniej i ponownie położył dłoń na piersi dziewczyny.

– Taki cud – rzekł – uwiarygodniłby ponad wszelką wątpliwość przybycie nowego Mahdiego. – Stary człowiek patrzył teraz w oczy Hawke’a. – Wygląda na to, że muszę panu powiedzieć, kto to jest Mahdi.

## 2

Hawke podstawił głowę pod strumień gorącej wody i stopniowo przykręcał kurek, aż zrobiła się całkiem zimna. Dopiero wtedy wyszedł spod prysznicy i owinał się w obszerny ręcznik. Kąpiel dobrze mu zrobiła. Potrzebował jej z kilku powodów. Raz, że noc była gorąca i parna, dwa – wypił tego wieczoru nieco za dużo; przede wszystkim jednak, po rozmowie z Pritchardem miał w głowie zupełny mętlik. Przeszedł na bosaka do sypialni, zrobił sobie szklankę wody z lodem i po raz kolejny zapatrzył się na ciemną rzekę za oknem.

Minęło kilka godzin od chwili, gdy Pritchard rzucił w rozmowie słowo „religia”. Przez ten czas Hawke mówił niewiele. Wyrwało mu się kilka pytań, ale poza tym słuchał z rosnącym zainteresowaniem, pełen podziwu dla wiedzy starego i jego wręcz wizjonerskiej wyobraźni.

Pritchard wszystko dokładnie przemyślał. To, co planował, mogło się stać, jak stwierdził nieco nieskromnie, wywiadowczym hitem wszech czasów. I Hawke nie mógł się z nim nie zgodzić.

– To tak, jak zwerbować papieża na płatnego informatora – zauważył.

– Więcej – zapalił się Pritchard – bo Mahdi dysponowałby władzą absolutną. Każda władza w państwie islamskim musiałaby uznać jego zwierzchność pod groźbą powszechnej rebelii.

Pritchard zapuścił się w wyjaśnianie teologicznych źródeł kultu Mahdiego, przyczyn, dla których każdy muzułmanin wierzy w nadejście nowego proroka i modli się o nie. Od śmierci Mahometa miały miejsce dziesiątki fałszywych alarmów.

Brityjscy w dniach swojej imperialnej świetności pokonali i zabili dwóch takich pretendentów. Niedawno król Arabii Saudyjskiej skazał na śmierć pewnego młodego fanatyka oraz większość jego zwolenników za to, że ośmielili się uważać tego ostatniego za godnego świętego posłannictwa.

Hawke, coraz bardziej zaintrygowany, przypomniał, że nawet ajatollah Chomeini został przez wielu okrzyknięty Mahdim. Pritchard skinął głową, uśmiechnął się i zacytował innego ajatollaha, który stwierdził, iż istotnie, pewnego dnia Mahdi zstąpi na ziemię, ale nie na pokładzie jumbo jeta Air France.

Następnie Pritchard przedstawił zarys aktualnej kondycji islamu, jego młodość i żywotność. Pięćdziesiąt lat temu istniały na świecie tylko cztery państwa islamskie. Obecnie było ich czterdzieści pięć. Do końca stulecia ponad połowę ludności czarnej Afryki będą stanowili muzułmanie. Południowe i wschodnie rejony Rosji zamieszkiwać wówczas będzie ponad sześćdziesiąt milionów wyznawców Proroka. Nawet komunizm nie mógł powstrzymać ekspansji islamu. Coraz większa część światowych zasobów naturalnych przechodzi pod kontrolę muzułmanów. Dotyczy to w szczególności ropy naftowej. Osiemdziesiąt procent złóż tego surowca znajduje się na terytorium państw islamskich.

W swojej analizie Pritchard starał się uwypuklić groźbę, jaką dla Zachodu stanowiło powstanie wielkiego Państwa Islamu. Pozwolił sobie na przenośnię: „słoń w składzie porcelany” – olbrzymie, niezdarne, niesforne dziecko, rozrastające się niepowstrzymanie. Długo oczekiwane przybycie Mahdiego mogło całkowicie odmienić sytuację. Dawało szansę zapanowania nad chaosem.

– Możliwe nawet – z uśmiechem powiedział Pritchard – że Mahdi uznałby dziesiętsze ceny ropy naftowej za paskarskie. A Koran jest bardzo surowy dla paskarzy. Proszę posłuchać, Sura IX: „A tym, którzy zbierają złoto i srebro, a nie rozdają ich na drodze Boga – obwieść karę bolesną! W dniu, kiedy te metale będą rozpalone w ogniu Gehenny i będą napiętnowane nimi ich czoła, ich boki i grzbiety. Oto co zebraliście dla siebie. Zakoszujcie więc tego, co zebraliście!”.

Hawke słuchał z wytężoną uwagą. Nie był człowiekiem z natury skłonny do puszczania wodzy wyobraźni. Niemniej wiedział z doświadczenia wynikającego z jego zawodu, że w gruncie rzeczy nic nie jest niemożliwe, jeśli chodzi o wprowadzenie w błąd dowolnie dużej liczby ludzi. Starał się jednak myśleć praktycznie. Chciał konkretnej odpowiedzi na pytanie, jak? W porządku, może uda się zaaranżować „cud” i dzięki temu doprowadzić do ustanowienia nowego Mahdiego. Ale co ze szczegółami? Jak go wybrać? Czego nauczyć? I przede wszystkim, jak kontrolować? Czy Pritchard wszystko to przemyślał?

Okazało się, że Pritchard opracował wszelkie aspekty swego planu, od rozposzczernienia w społeczności muzułmańskiej pierwszych pogłosek o przybyciu proroka, po wybór właściwego człowieka, uwzględniający jego życiorys i zdolność oddziaływania na otoczenie. Największym problemem, zauważył, będzie sprawowanie bezwzględnej kontroli nad Mahdim, kiedy już zostanie przedstawiony światu. To było coś, co musiał zorganizować Hawke i jego eksperci. Dla takiej organizacji jak CIA znalezienie odpowiedniej osoby i kierowanie nią w trakcie wykonywania najdelikatniejszej nawet operacji, nie powinno stanowić trudności nie do pokonania. Dalej Pritchard opisał, jakie w przybliżeniu rezultaty mogą zostać osiągnięte dzięki udanej akcji. Jak, krok po kroku, można będzie zapanować nad polityką państw islamskich, a nawet spowodować upadek rządów nieprzychylnych Zachodowi. W ostatnich latach miał miejsce gwałtowny nawrót idei fundamentalizmu islamskiego i nawet totalitarne rządy takich państw jak Syria, Libia czy Arabia Saudyjska musiały przeciwdziałać wpływowi organizacji w rodzaju Bractwa Muzułmańskiego, których jedynym celem był powrót do surowego prawa koranicznego jako zasady organizacji społeczeństwa. Iran był tu pierwszym i najbardziej wymownym przykładem. Pritchard uważał jednak, że poprzez Mahdiego nawet Iran można będzie zmusić do podporządkowania się woli większości.

Słuchając w skupionym milczeniu, Hawke w pewnym momencie dał dowód nabytej wieloletnią praktyką zawodowej ostrożności. Pritchard spostrzegł, że Amerykanin zerka niespokojnie na dziewczynę, milczącą i senną, siedzącą na jego kolanach. Uśmiechnął się i stwierdził, że nie ma powodu do obaw. Dziewczyna mówi tylko po malajsku, a poza tym nie jest muzułmanką.

– Jest dziewczą – wyjaśnił, ponownie się uśmiechając – co samo w sobie stanowi pewną mistyczną religię.

Stojąc przy ciemnym oknie swojej sypialni, Hawke popijał wodę, a jego umysł zajęty był rozważaniem najróżniejszych wątpliwości, wynikających z pomysłu Pritcharda. Stary człowiek naszkicował zarys całej operacji. Hawke mógł go sobie wyobrazić siedzącego tu, w swojej pustelni nad rzeką, i noc po nocy planującego podstępna i wyrafinowaną kampanię przeciw najbardziej żywotnej i agresywnej religii świata. Chodziło o wykorzystanie słabości islamu, o wyodrębnienie tych jego cech, które były najbardziej podatne na działanie nowoczesnych metod, z zastosowaniem najnowszej technologii. Pritchard twierdził, że islam jako światopo-

głód odstręczał od myślenia innowacyjnego, a więc od nauki. Pod tym względem osiągnął stan porównywalny z hiszpańską inkwizycją. Fundamentalisci obawiali się wszelkich odstępstw od ustalonych norm. Dlatego islam nakierowany jest w głąb, ku sobie, wraca do swych źródeł, poszukuje teologicznej czystości, a wystrzega się zmian.

To właśnie, w połączeniu z mistycznym żarem tej religii i powszechną wiarą w nadejście nowego proroka, Mahdiego, stanowiło istotę strategii Pritcharda.

Hawke nie przegapił kryjących się w tym wszystkich pułapek.

– A co, jeśli ten plan zostanie ujawniony? – zapytał. – Reakcja krajów Bliskiego Wschodu byłaby druzgocąca. Dostawy arabskiej ropy zniknęłyby szybciej niż znikła uśmiech z twarzy dziwki, kiedy poczuje w rękę zapłatę.

Pritchard uśmiechał się, pokiwał głową i krytycznie przyjrzał się swemu gościowi. Na koniec zapytał, jak brzmi pierwsza zasada, którą musi sobie przyswoić każdy agent wywiadu. Hawke zastanowił się, przebiegając myślą dwadzieścia lat swych zawodowych doświadczeń, aż Pritchard sam, zniecierpliwiony, odpowiedział na swoje pytanie:

– Zawsze staraj się, by kto inny firmował nasze akcje. Jeśli sprawy przybierają zły obrót – wypieramy się wszelkiej odpowiedzialności i znikamy, czekając aż ucihną wrzawa.

Hawke skinął głową. Zgoda, a więc kto w tym przypadku miałby być ewentualnym kozłem ofiarnym?

W tym momencie uśmiech Pritcharda przybrał wyraźnie sardoniczne zabarwienie.

– Istnieje dwóch kandydatów – rzekł. – Izraelczycy i Brytyjczycy.

Bardzo skrupulatnie rozważył całą sprawę i ostatecznie wypadło na Brytyjczyków. Jego argumentacja brzmiała bardzo logicznie. Po pierwsze, Mosad, wywiad izraelski, słynął z przebiegłości oraz, nie da się ukryć, cynizmu. Nie ma mowy, żeby pozwolili się wykorzystać. Jeśli operacja zakończy się sukcesem, mogą nawet odstąpić od wszelkich zobowiązań i ewentualne korzyści zagarnąć dla siebie. Brytyjczycy natomiast idealnie nadawali się na wykonawców tego rodzaju przedsięwzięcia. Przypisywali sobie wyjątkową znajomość „Arabii”. Żywili romantyczne iluzje co do własnej roli w historii Bliskiego Wschodu. Bez końca powoływali się na zasługi Lawrence’a i Burтона. To dziwne, zauważył Pritchard, jak mieszkańców kraju o tak wstępnym, wilgotnym klimacie ożywiała tęsknota za pustyniami Arabii. Istotne jest również to, że w przypadku ujawnienia całej intrygi, państwa islamskie niewiele mogły zrobić Brytyjczykom. Mieli przecież swoje złoża ropy na Morzu Północnym, które powinny im wystarczyć na co najmniej dwadzieścia lat. I wreszcie współpraca z nimi umożliwiała Amerykanom sprawowanie nadzoru nad całością operacji.

Tu Hawke wysunął pewne obiekcje. Jak większość funkcjonariuszy wywiadu amerykańskiego, był bardzo podejrzliwy w stosunku do swych brytyjskich sojuszników. Owszem, mieli sukcesy podczas wojny i wkrótce po niej, ale obecnie ich tajne służby znajdowały się w opłakanym stanie. Obcy agenci czuli się u nich równie pewnie jak na korytarzach ambasady sowieckiej. „Philby, Burgess, MacLean, Yassall, Blunt – wylizali na palcach Hawke – i tylko Bóg i KGB wiedzą, ilu jeszcze dotąd nie wykrytych”.

Pritchard był innego zdania. Uważał, że zwłaszcza MI-6, wywiad brytyjski działający poza granicami kraju, był stosunkowo pewny, po czystce dokonanej w latach siedemdziesiątych. Będą chcieli poprawić swoją pozycję w oczach sojuszników i konkurentów z całego świata i gorliwie skorzystają z okazji włączenia się do tak prestiżowej akcji. Ich pozycja była ostatnio silniejsza dzięki stanowczej polityce brytyjskiej pani premier. Pritchard ujął to dość dosadnie, mówiąc, że Żelazna Dama ma dość jaj, żeby poprzec każdy plan mający na celu zwiększenie bezpieczeństwa Wielkiej Brytanii – nieważne jak ryzykowny.

Hawke nie czuł się przekonany, ale ostatecznie była to kwestia czysto akademicka. Nie wyobrażał sobie, jak cały ten projekt, choć niezwykłe przemawiający do wyobraźni, mógłby przedstawić dyrektorowi, a co dopiero prezydentowi.

Miał także wątpliwości co do lojalności starego szpiega. Po zastanowieniu, przypominawszy sobie wszystko, co wiedział o Pritchardzie, doszedł do wniosku, że można liczyć jedynie na jego lojalność wobec samego siebie i niemal artystyczne zamiłowanie do uprawnianego zawodu. Sam fakt, że po przejściu na emeryturę, Pritchard skrył się na tym odludziu, budując własny, kręcący się wokół niego światek, zdawał się świadczyć o zerwaniu wszelkich więzów z przeszłością. Dawne emocje przeminęły, pozostał cynizm i upodobanie do intelektualnie wyrafinowanych spekulacji.

Pritchard popijał koniak, nie przerywając milczenia. Hawke też milczał, zadumany, próbując wyobrazić sobie, jak brzmiałby hipotetyczny raport, który mógłby przedstawić dyrektorowi. W myśli odpierał oczywiście, łatwe do przewidzenia obiekcje. Zastanawiał się nawet nad konsekwencjami, jakie dla jego własnej kariery mogło mieć powodzenie – lub klęska – tego planu. Pritchard pogрузzył się we własnych myślach i, wpatrując się w rzekę, machinalnie gaskał ramię sennej Malinki.

Hawke pierwszy się otrząsnął. Odsunął krzesło i wstał, dziękując gospodarzowi za niezapomniany wieczór. Pritchard nie odpowiedział; skinął jedynie głową, a Hawke rzuciwszy krótkie „dobranoc” skierował się ku siatkowym drzwiom wiodącym w głąb domu. W ostatniej chwili zatrzymał go głos starego.

– Jeśli miałby pan przekazać moje sugestie dalej, musi pan wiedzieć, że istnieje pewien człowiek, który mógłby tego dokonać.

Hawke cofnął się o krok, wracając w krąg światła wokół stołu. Był to znaczący ruch – górę wzięło pragnienie uczynienia fantazji mniej nierealną.

– Nazywa się Gemmel – rzekł Pritchard. – Peter Gemmel. Jest zastępcą naczelnika wydziału operacyjnego MI-6, arabistą. Zna go pan może?

Hawke zaprzeczył ruchem głowy.

– Może to i lepiej – ciągnął Pritchard. – To jeden z nowych ludzi, jeszcze nie zepsuty. Taka nowa rasa – stary człowiek uśmiechnął się. – Nie studiował nawet w Oxford czy Cambridge. Ale jest bystry i twardy, spodobałby się panu.

– A jego ojciec? – spytał Hawke. – Czy też był arabistą?

Pritchard wybuchnął śmiechem. Stłumionym, piskliwym śmiechem oznaczającym akceptację. Jego gość po raz pierwszy okazał dowcip i refleks. Dziewczyna otworzyła oczy i zachichotała, bezmyślnie wtórując staremu szpiegowi.

Pritchard umilkł i wolno pokręcił głową.

– Nawet pan, panie Hawke, nie winiłby ojca za grzechy jego syna. Ale jeśli to pana uspokoi, ojciec Gemmela był, o ile wiem, górnikiem. Mówiłem, że to nowa rasa.

Hawke skinął głową, odwrócił się i wszedł do domu.

Opróżnił szklankę, a następnie przygotował sobie nową porcję wody z lodem. Wspomnienie ostatniej wymiany zdań z Pritchardem mile polectało jego próżność. Końcowa uwaga na temat ojca Gemmela miała dowieść Pritchardowi, że nie był ignorantem ani w sprawach arabskich, ani w tym, co dotyczyło wywiadu brytyjskiego. Pritchard wspomniał o Philbym. Kim Philby był najbardziej chyba kłopotliwym zdrajcą w historii brytyjskich tajnych służb, „śpiochem” pracującym dla KGB, który zburzył całą konstrukcję powojennego MI-6. Tak się złożyło, że ojciec Philby’ego, St. John Philby, był znanym uczonym, autorytetem w dziedzinie kultury arabskiej. Niemniej, zamyślił się Hawke, Pritchard miał rację – za grzechy syna nie można winić jego zmarłego ojca.

Jakiś ledwo uchwytany szmer sprawił, że Hawke odwrócił się od okna. Drzwi do pokoju uchyliły się powoli. W półmroku pojawiła się w nich postać dziewczyny. Weszła do środka i wtedy Hawke zauważył, że niesie przed sobą małą, srebrną tacę. Na niej leżał ciasno zwinięty, biały ręcznik. Dziewczyna postawiła tackę na stole, strzepnęła ręcznik i zbliżywszy się do stojącego bez ruchu Amerykanina zaczęła delikatnie wycierać jego twarz. Ręcznik był wilgotny i lodowato zimny. Dziewczyna przetarła nim oczy i płatki uszu mężczyzny, a potem zsunęła dłonie na jego obnażoną pierś. Po chwili, łagodnie uśmiechnięta, odłożyła ręcznik na tacę i podeszła do łóżka. Ściągnęła nakrochmalone prześcieradło, rozluźniła swój sarong i pozwoliła mu spłynąć do stóp. Jej niewyraźna sylwetka, złocista, nieruchoma, niczym zjawia majaczyła w mroku. Po raz kolejny tego wieczoru Hawke poczuł, iż traci poczucie rzeczywistości. Odstawił szklankę i zbliżył się ku dziewczynie.

Wiele miesięcy później – całe życie później – Hawke przypomniał sobie, że stary szpieg go oszukał; nie była dziewczyną.